

# Ludzie i duchy

WRACAMY raz jeszcze do „Dziadów“, nie mogąc się oprzeć najgłębszemu wzruszeniu, jakie daje niezmiennie każde ponowne obejrzenie na scenie tego arcyepoematu. W poprzednim omówieniu (por. „Życie“ nr 284) starałem się dotknąć najważniejszych problemów inscenizacyjnych przedstawienia w Teatrze Polskim. Pora zająć się grą aktorów.

Aleksander Bardini, który w swym ujęciu „Dziadów“ tak mocno uwykulił sprawę młodzieży jako głównego bohatera poematu, był konsekwentny: także wszystkie role młodych obsadził młodymi aktorami. Była to odważna decyzja zważywszy, że aktorzy ci nigdy „Dziadów“ na scenie nie widzieli, nie znali więc żadnych wzorów i w wielkim repertuarze romantycznym dotychczas na ogół niewiele mieli do czynienia. Przy tym braku doświadczenia duża musiała być praca reżysera. Mimo takich czy innych niedociągnięć, mimo nieraz wyraźnie widocznej niedojrzałości aktorskiej, przedstawienie miało świeżość i urok młodości. Nie było chyba dotąd tak młodych „Dziadów“ w teatrze. Zyskała na tym bardzo prawda i sens mickiewiczowskiego dramatu — dramatu młodego polskiego pokolenia, tragicznie rozpoczynającego wiek XIX. Dramatu podniesionego w

„Dziadach“ do wyżyn tragedii ogólnonarodowej.

A trudności piętrzą się tu przed aktorami rozliczne. Przede wszystkim Gustaw-Konrad to jedna z tych ról, które wymagają autentycznej młodości i zarazem pełnej dojrzałości artystycznej. Nie łatwo to znaleźć w jednej osobie. Rola ta rozpięta jest na ogromnej i różnorodnej skali uczuć, wymaga olbrzymiej potęgi wyrazu. Łatwo się zalać pod tak gigantycznym zadaniem.

Ignacy Gogolewski jest zaledwie dwa lata na scenie. W „Miesiącu na wsi“ miał sposobność „objawić się“ jako bardzo utalentowany aktor, rokujący jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Ale gdzież to studentowi z sztuki Turgieniewa do mickiewiczowskiego Gustawa-Konrada! Gogolewski otrzymał wielką szansę artystyczną i życiową zagrania tej roli przy swym małym doświadczeniu scenicznym. Zagrał ją i... wygrał. Zaskoczył swym niezwykle talentem. Trzeba się bardzo cieszyć, że scena polska zyska nowego wielkiego aktora.

Jego Gustaw-Konrad zabarwiony jest tonami miękimi, lirycznymi. Tak jest gatunek talentu Gogolewskiego. Ma jednak mocną i głęboką siłę przeżycia, żar wewnętrzny, urok mło-

dzieńczy. Budzi wiarę w prawdę uczuć kochanka Maryli i więźnia z celi Bazyljanów. Wzrusza. Poezja Mickiewicza brzmi w jego ustach pełnym, szlachetnym tonem. To nie jest fałszywy tombak, ale prawdziwe złoto.

Oczywiście przy całym wielkim uznaniu dla pięknej kreacji Gogolewskiego wolno powiedzieć, że jest jeszcze zbyt młodym aktorem, aby oddać cały wicher uczuć miotających Gustawem; że nie całkiem wyraźnie zdołał wyodrębnić różnicę nastrojów „godziny miłości“ i „godziny rozpacz“ w cz. IV; że olbrzymie napięcie wielkiej improwizacji przetrastało jeszcze jego siły. Ale trudno to wszystko wysuwać jako pretensje. Jak wiadomo cudów nie ma. Nawet w teatrze. Zwłaszcza w teatrze. A to co dał — co mógł dać Gogolewski w „Dziadach“ jest naprawdę niezwykle osiągnięciem aktorskim.

Niemniejsze uznanie należy się za tę samą rolę Stanisławowi Jasiukiewiczowi, którego pierwszy raz widzieliśmy w Warszawie. To aktor już dojrzalszy. Jego Gustaw-Konrad jest bardziej męski, bardzo skupiony, wyrozumowany. W cz. IV jego ładny głos nie ma zbyt dużej skali subtelnych odcieni. Ale zadziwia Jasiukiewicz w cz. III, a zwłaszcza w wielkiej improwizacji. Jakby całą swą rolę skoncentrował wokół tej sceny. Czuję się w niej moc i wiarę w swoje siły człowieka, który rzuca wyzwanie Bogu.

Z resztą młodzieży aktorskiej w tym przedstawieniu jest rozmaicie. Trudno tu omawiać, czy choćby tylko wymienić około setki różnych postaci „Dziadów“. Musimy się ograniczyć tylko do kilku. A więc słowa Dziewicy w ustach ZOFII KO-

MORSKIEJ brzmią dość pustym dźwiękiem. Opowiadanie Sobolewskiego JOZEF PARA wygłasza z surową, przejmującą prostotą i spokojem. W to samo opowiadanie ADAM HANUSZKIEWICZ wkłada więcej uczucia i serdeczności. W scenie więzienniej duże wrażenie robi też pieśń Jankowskiego „Jezus Maryja“ (JERZY MAGORSKI) i Kółkowskiego „Nie dbam, jaka spadnie kara“ (ZBIGNIEW BOGDANSKI). W najsłabszym obrazie w całym przedstawieniu — „Salonie warszawskim“ opowiadanie Adolfa ZYGMUNT LISTKIEWICZ mówi z młodzieńczą namiętnością, a AUGUST KOWALCZYK z piękną, opianowaną kulturą słowa. W tym obrazie też warto wyróżnić kilka wierszy Brodzińskiego ładnie wypowiedzianych przez JANĄ NIEWIADOMSKIEGO.

Oprócz Gustawa-Konrada są jeszcze inne wielkie role w „Dziadach“. Przede wszystkim Rollisonowa. Ma ona w tradycji teatru polskiego znakomite i pamiętne kreacje aktorskie. Tradycja ta zwiększa się teraz o dwa nowe wybitne osiągnięcia. Seweryna Broniszywna głęboko wzrusza jako nieszczęśliwa matka, pełna serdecznego bólu i miłości. Zofia Małynicz jest bardziej monumentalna, mocniejsza w środkach aktorskiego wyrazu, potężniejsza w bólu i oskarżeniu. Obie inne i obie równie znakomite.

Świetny był Władysław Hańcza jako Senator — zwłaszcza w „Śnie“. Miał z lekka chamską wytworność salonowego pana i zimne okrucieństwo łajdaka. Spośród jego przybocznej sfery Aleksander Żabczyński stwarza wyrazistą sylwetkę Pelikana, ale i Gustaw Buszyński (Doktor). Franciszek Dominiak (Bajkow), Mariusz Dmochowski (Sekretarz) odznaczają się trafnymi, indywidualnymi charakterami. Na Balu u Senatora w króciutkiej kwestii Sowietnikowej

blysnęła swym talentem Aleksandra Leszczyńska.

Dwóch aktorów gra też księdza Piotra. Mieczysław Milecki ma ogromną prostotę, ściszoną pokorę wielkiego w tej pokorze i skromności braciszka zakonnego. Marian Wyrzykowski mówi pięknie i mocno, z dużą siłą wyrazu, jest jakby nie braciszkiem, ale ojcem Bernardynem.

I wreszcie w roli Guślarza słyszymy Wojciecha Brydzińskiego (rolę tę gra również Józef Maliszewski), jak pełnym przejęciem i namaszczenia głosem wzywa duchy na obrzęd „Dziadów“.

Te duchy i zjawy to oddzielna i bardzo trudna sprawa. Stanowią one jeden z zasadniczych elementów „Dziadów“. Ale jak je pokazać na scenie? W inscenizacji Schillera duchy były tylko głosem i światłem, nie miały ludzkiej postaci. Bardini w części II chciał iść za wskazówkami Mickiewicza i ludowym charakterem tej części i pokazał zjawy. Ale tylko widom. Chór w kaplicy zapewne je widzi, ale jedynie „oczyma duszy“, bo odwrócony jest do nich tyłem. Nie bardzo rozumiem sens takiego ujęcia. Czy szło o to, aby widzowie przypadkiem nie pomyśleli, że zjawy ukazują się naprawdę? Jeśli tak, to zabieg ten był chyba zbyt czyny.

Z widmem złego pana (przejmującego grę LEON PIETRASZKIEWICZ) jest najmniej kłopotu. Ukazuje się ono za oknem. Warto zaznaczyć, że wśród szarpających to widmo ptaków szczególnie mocno zabrzmiły słowa Sowy (KRYSZYNA BOROWICZ). Gorzej jest z innymi zjawami. Aniołki świecące się na suficie, kolorowa pocztówka Zosi na ścianie (tekst Zosi ładnie mówi zarówno RENATA KOSOBUDZKA jak i KATARZYNA ŁANIEWSKA) — zawędrowały tu z jakiegoś naturalistycznego i... staroświeckiego teatru — jeśli można mówić o naturalizmie w stosunku do duchów.

W cz. III duchów nie widzimy już na scenie poza snem Senatora, ale to sen, a

nawet w tym wypadku sen w śnie, bo o tym wszystkim roi się Konradowi. W śnie tym zarówno Belzebub (TADEUSZ KOSUDARSKI), jak i diabły (EDMUND KARWIAŃSKI i JERZY MAGORSKI) dobrze rozegrali swoje role. Poza tym w całej tej części głosy duchów odzywają się za sceną. Ale ponieważ duchy muszą mówić inaczej niż ludzie, więc nadano im inne, megalonowe brzmienie głosu. Tam, gdzie odzywały się one chórnie, niewiele słów można było zrozumieć. Pięknie zabrzmiał głos Ducha kończący prolog. Ale w ogóle takie zastosowanie nowoczesnej techniki do starych duchów nie budzi entuzjazmu. W istocie jest to znówu jakieś „urealnianie“ duchów i niedowierzanie w wymowie zwykłej konwencji teatralnej.

W scenie egzorcyzmów Bardini poszedł — bardzo słusznie — za Schillerem. Bluznierstwo i dalsze słowa diabła włożył w usta Konrada, który mówi je zmienionym głosem. To nie on mówi, tylko siedzący w nim diabeł. Obydwaj wykonawcy roli Konrada scenę tę dobrze rozegrali. Tu-mażyła się chyba widzowi jasno.

Niejedno można zarzucić przedstawieniu „Dziadów“ w Teatrze Polskim. Ale nie było jeszcze inscenizacji tego arcyepoematu, która nie budziłaby jakichś zastrzeżeń. Jedno jest niewątpliwe. Wychodzimy z teatru głęboko wstrząśnięci. Poezja mickiewiczowska uderza do głowy. Przez długi czas trudno uwolnić się spod jej oszałamiającego czaru. Jeżeli tak się dzieje, to znaczy, że wielki wysiłek teatru nie poszedł na marne, że przedstawienie jako całość na swój sposób poddało deniosłemu zadaniu pokazania dzisiejszemu widzowi arcydzieła Mickiewicza.

AUGUST GRODZICKI

P. S. Sprawiedliwość każe dodać słówka pochwały za starannie opracowany program przynoszący dużo materiału historyczno-teatralnego i ilustracyjnego związanego z „Dziadami“.